

zadowoleniem; kiedy ścisnął serdecznie dłoń, do niego wyciągniętą.

— Pragnąłem gorąco — odezwał się — aby ta chwila nadeszła bez potrzeby zdradzenia tej smutnej tajemnicy, powierzonej mi — ale trudno! Widocznie inaczej być nie mogło! Kiedy to ciężkie oskarżenie pana spadło na mnie w sposób tak nieoczekiwany, chciałem energicznie stawić czoło losowi, licząc na sprzyjające okoliczności, które będą mogły wykazać moją niewinność. Chciałem walczyć z przeznaczeniem! Pragnąłem z gorączkową ciekawością śledzić wnikł tej strasznej walki, wytoczonej mi i ująć się swą zwycięzcą. Ale przerażeniłem się ze swoimi fizycznymi siłami. Przyszła chwila, że już nie mogłem znieść tych tortur i widząc, że pomoc oczekiwana nie nadchodzi, zdecydowałem się mówić, aby tylko odzyskać wolność utraconą i wyjść z tej celi, która mnie do szaleństwa doprowadzić mogła. Niech mi pan wierzy, panie sędzio, w tej chwili czynię sobie gorzkie wyrzuty za tę słabość, która mnie popchnęła do złamania przysięgi. Powinienem być jej pozostać wiernym aż do końca. Ale cóż, natura fizyczna człowieka słabsza jest od duchowej. Zmogła mnie ona prędzej, niż się tego spodziewać mogłem.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby pan nigdy nie żałował tej chwili szczerości i zaufania, jakim pan mnie obdarza. — odparł poważnie pan Ginory.

— Dziękuję panu. Ale to ciężkie, bardzo ciężkie przejście dla mnie. Nie zapomnę nigdy radości Róvera, kiedy, uspokojony już, mówił mi, że ta, którą córką swoją nazywa, nie jest bogatą, gdyż żyje razem z matką jedynie z emerytury, którą pobiera ojciec, ale, dzięki jemu, przyszłość jej będzie zabezpieczona.

— Ta niewinna dziewczyna — mówił — nie może odpowiadać za jeden zły krok dwojga ludzi. Młoda jest jeszcze bardzo, a ten, którego pielęgnuje dziś z takim poświęceniem i zaparciem się siebie, nie będzie już długo żył. Mój majątek stanowić będzie jej posag, a wówczas stworzyć sobie będzie mogła życie według upodobań.

— Miałek ten Róver chciał mnie powierzyć. Część tylko swoich pieniędzy złożył był jeszcze dawniej u swojego notariusza, ale resztę zachował u siebie w kasie. Nie dowierzał ludziom i nie lubił ich. Ogólnie myślał, że jest skąpym. Ale była to pomyłka. Lubił mieć pod ręką tylko to, co do niego należało. Składał pieniądze i wartościowe papiery do kasy, jak ulubione książki do biblioteki. A może także chciał w ten sposób być nie skrupowanym i dać z wolnej ręki, bez niczyjej wiadomości, majątek swój osobie, o której istnieniu świat nie powinien był wiedzieć.

Zaujął bardzo, że dnia tego, po otrzymaniu od niego tego zwierzenia, nie zapytałem się go, jak myśli rozporządzić swoim majątkiem i w jaki sposób wzbogacić to dziecko, którego nie miał prawa nazwać swoim. Byłem tak przejęty tem, co usłyszałem i zgnębiony jego stanem, że mi to w pierwszych chwilach na myśl nie przyszło. Rzecz tę właściwie mógł łatwo załatwić przeze mnie, jeżeli nie chciał w nią mieszać ludzi obcych. Nie mówiliśmy wcale o tej sprawie. Zresztą on był tak osłabiony i tak dziwnie zmieniony przebyłym atakiem, że, nie chcąc go męczyć dłużej swoją obecnością, pożegnałem go, obiecując wkrótce powrócić. Jakże strasznie wyglądał, gdy tak leżał bezsilny i znużony, z oczami błyszczącymi podnieceniem i gorączką. Choroba w tak krótkim czasie uczyniła z tego silnego człowieka starca, drżącego przed nadchodzącą już śmiercią. Wy z dłem z tego smutnego domu przybity i zamyślony, unosząc ze sobą tajemnicę, której ciężar już zaczynałem czuć na ramionach swoich — mimowoli zwracając się myślą do zmarnowanej mojej przeszłości. Róver przynajmniej jednym szlachetnym czynem mógł zmazać szaleństwa swojego przeszłego życia. Czułem na równi z nim, że obowiązkiem jego jest zabezpieczyć tę biedną dziewczynę, przykutą do łóżka człowieka, którego przez lat tyle uważała za swojego prawdziwego oca. W dniu jego śmierci, który mógł być bardzo bliski, pozostanie sama, opuszczona, bez środków do życia, w małym domku, zawieszonym wśród gór w okolicy Blois. Rozumiałem dobrze, że majątek, którym rozporządzał Róver, nie powinien przejść w ręce obojętnych i dalekich krewnych, z którymi nie łączyły go żadne stosunki za życia i trzeba było zapobiedz temu, aby prawnie ten majątek nie został im przyznany.

Ale Róver był już umierający i czy będzie miał siły, potrzebne do przeprowadzenia tej akcji? Nie mogłem się bowiem ludzić co do stanu jego. Doktor, którego prosiłem o towarzyszenie mi do chorego, nie ukrywał przedemną swych obaw. Róver umierał na chorobę serca, niszczącą go już oddawna, a ostatni atak przyspieszył nieodwołalny jego koniec.

Róver po części musiał sobie zdawać sprawę ze swojego stanu, jeżeli zdecydował się wtajemniczyć mnie w całą tę smutną sprawę.

— Kocham to dziecko — mówił mi ze łzami w oczach — a nie wolno mi nazwać je swoim i mieć przy sobie. Dobrą jest łagodną i intelligentną. Gdyby nie to, że fizycznie jest podobną do mnie, powiedziałbym, że jest piękną. Jakże czułbym się dumny, gdybym mógł otwarcie powiedzieć całemu światu „to jest moja córka“, chodząc z nią pod rękę po ulicach, szczycić się nią, a muszę się kryć z tem uczuciem przed wszystkimi. Nie uwierzysz, Jerzy, jakie tortury moralne przechodziłem od lat tylu. Przekonałem się jednak, że to jest sprawiedliwa kara za to, że nie zawsze prawą drogą chodziłem po świecie. I ta miłość moja nieszczęśliwa! Zamiast mnie uszczęśliwić, przyniosła mi tylko rozpacz i upokorzenie.

Załowałem go serdecznie. Przecież ten najniebezpieczniejszy robotnik, pracujący tydzień cały w pocie czoła na utrzymanie rodziny, szczęśliwszy był od niego, bo mógł chociaż w niedzielę nacieszyć się dzieckiem swoim. A jednak Róver w tej ostatecznej godzinie nie zapragnął zawezwać do siebie ukochanej córki, pożegnać się z nią na zawsze. Domyślałem się, że wstrzymywały go od tego kroku wyrzuty sumienia i wstyd. Mógł przecież tak łatwo sprowadzić ją z Blois pod jakimkolwiek pozorem, mógł wysłać fikcyjną depeszę, ale Róver, czując z liżającą się już śmierć, pragnął już tylko samotności i lękał się widocznie wrażenia tego ostatniego spotkania. Lękał się samego siebie, słabości swojej i osłabienia, które już mu nawet mówić nie pozwalało.

— Nie chcę — powiedział mi w pewnej chwili — aby mnie Marta widziała teraz. To byłby widok za przykry dla jej wrażliwej natury. Mogłaby zachować niemile wspomnienie, a tego nie chcę. A przytem... przytem — dodał głębokim, surowym głosem — brak jej widoku drogiego będzie dla mnie najboleśniejszą pokutą i karą.

Rozumiałem dobrze te drażliwe przyczyny i zgadzałem się z jego wolą. Lękałem się przytem, aby to ostatnie widzenie się z córką nie było dla niego ciosem śmiertelnym. Ale już później, przy następnych moich odwiedzinach, chciałem mu przypomnieć, iż wyraził przedemną formalne życzenie zabezpieczenia przyszłości młodej dziewczyny. Czułem, aby tym aktem oświadczyć rzeczywiście winy przeszłości, skoro tego w innej formie uczynić nie mógł. Ale nie miałem odwagi powracać do tego tematu, bo widziałem, że z dłem każdym zaczął nabierać wiary w wyzdrowienie swoje i z sto wspominał o tem. Jednego wieczoru, kiedy, w dół mojego przekonania, czuł się gorzej, niż zazwyczaj, rzekł do mnie ledwie dosłyszalnym głosem:

— Wiem, o czem myślisz, Jerzy, bo umiem czytać w twoich oczach. Lękasz się o mnie, nieprawdaz? Ale mylisz się. Gdybym wiedział, że jestem nieodwołalnie zgubionym, postanowiłbym już coś względem mojej córki. Ale ja mam czas jeszcze, wierz mi, a ta rzecz stać się nie może za mojego życia.

Zadrżałem, słysząc te słowa. Ten biedak ludził się. Sądził, że czas jego nie nadszedł jeszcze! A jednak nadchodził z przerażającą szybkością, a nie miałem odwagi powiedzieć mu, że dni jego są policzone. Przyszła przecież chwila, że zwalczyłem swoje skrupuły, bo już dłużej czekać nie mogłem. Zwierzenie mojego przyjaciela uczyniło ze mnie drugiego Róvera, który musiał działać za tamtego, bez siły już i woli. Czułem, że teraz ja jeden trzymam w rękach los tej biednej Marty, której nawet nie znałem osobiście, ale o której wiedziałem, że wiedzę życie, pełne poświęcenia i smutku przy sparaliżowanym odczuwaniu, pokutując w ten sposób za tamtych, winnych! Mówiłem sobie:

— Róver musi do rąk moich złożyć ten święty depozyt, a moim obowiązkiem jest teraz obudzić jego osłabioną wolę i popchnąć do czynu.

Zdecydowałem się na to, bo czułem, że tak powinienem być uczynić. Róver z dniem każdym utracił siły i jasność umysłu.

Raz rano, kiedy tak, jak codziennie, poszedłem go odwiedzić, zastałem go w stanie dziwnego niepokoju i lęku. Opowiedział mi że w nocy był u niego złodziej, którego o mało nie stał się ofiarą, że drzwi do jego sypialnego pokoju wyrwane zostały i kasa przemocą otworzona. Począłem nagle urwać i zaczął się śmiać cicho. Doznałem silnego wrażenia i pochwyciłem go za puls, badając, czy nie ma gorączki.

— To nic! To nic! — mówił dalej przerywanym głosem — Snię głośno, oto wszystko! Musiało mi się w nocy coś przedziwić i teraz jeszcze jestem pod tem wrażeniem. Nikt tu nie był, uspokój się Jerzy! Gdzieżby się tu mógł złodziej dostać. Pani Moniche czuwała przy mnie. Ale widzisz, mój biedny

mój taki osłabiony. A ja dosyć łajdaków w życiu swoim znałem. I teraz mi się to przypomina. Są dają zawsze odbicie rzeczywistości. To było niedługo. Coby teraz robił złodziej u mnie, prawda?...

Próbował śmiać się jeszcze, ale ja widziałem, że to było niezdrowe majaczenie i zaniepokoiłem się bardzo. Majaczenie to trwało parę dni. W pewnych chwilach jednak Róver odzyskiwał przytomność.

Chciałem koniecznie skorzystać z takiej chwili i zmusić go do uczynienia tego, co zamierzał. Czułem, że on sam nie zdołałby się już na krok stanowczy, a przecież wiedziałem, jak gorąco pragnie uiszczyć się z tego długu.

Byłem więc zdecydowany dopomóc mu. Było to w dniu, w którym pani Moniche widziała mnie przy kasie w towarzystwie Róvera.

Był tego dnia spokojniejszy. Kiedy przyszedłem, leżał na kanapie, owinięty w szeroki, ciepły szlafrok i przywitał mnie wesoło, podając wyschniętą, kościstą rękę.

— Czuję się dziś daleko lepiej. — rzekł, nie czekając na moje zapytanie — Zdaje mi się, że teraz choroba mnie już nie zmoże. Jak myślisz Jerzy?

Mówiąc to, wpatrywał się badawczo w moje oczy. Ze spojrzenia tego, pełnego napięcia i w tej chwili posiadającego dziwną energię i siłę, poznałem, że ten człowiek, który dotąd lekceważył sobie śmierć i nie lękał się jej, rozpaczliwym wysiłkiem chciał powstrzymać uciekające życie.

— Z pewnością żyć będziesz, mój drogi — odpowiedziałem siląc się na to kłamstwo — Już największe zło minęło i teraz powinieneś spokojnie pomyśleć o przyszłości.

— A widzisz! — odpowiedział mi radśnie — Złe minęło i teraz będziemy żyć razem, jak dawniej.

Poruszenie kwestyi, tak gorąco obchodzącej mnie, kosztowało mnie wiele, ale przecucie jakieś mówiło mi, że dziś muszę o tem z nim pomówić, dziś koniecznie.

Usiadłem obok niego na kanapie i ująłem go serdecznie za rękę.

— Słuchaj, mój przyjacielu! — rzekłem, panując nad wzruszeniem — Czy nie sądzisz, że skoro dziś jesteś silniejszy i pełny energii, to najlepsza pora do uregulowania twojego życia na przyszłość?

Ukwił we mnie wymowne i głębokie spojrzenie i widziałem, że zrozumiał moje intencje.

— Masz słuszość, Jerzy! — rzekł z mocą — Muszę oddać od siebie tę słabość, której się poddałem w dniach ostatnich. Pomoż mi wstać!

Wstał z kanapy, oparty na moim ramieniu, z twarzą zdrygowaną i spokojną. Cóż dziwnego szlachetnego jaśniało w niej w tej chwili. Przeglądałem się mu mimowoli z podziwem i szacunkiem. Chwiejnym niepewnym krokiem postąpił naprzód, poczem wyprostował się i odrzuciwszy moją pomoc, podszedł prosto do kasy, stojącej w rogu pokoju. Długą chwilę stał przy niej, nie otwierając jej. Nagle zaśmiał się cicho i zwrócił do mnie.

— No, patrz, Jerzy, co ta niedobra choroba uczyniła ze mnie. Zapomniałem, zapomocą jakich liter kasa moja się otwiera. Ale teraz już przypominałem sobie.

Wyjął z wyciągniętych szafki duży portfel, napełniony papierami, listami zastawnymi i banknotami, powrócił do kanapy i rozłożył to wszystko na małym stoliku stojącym obok.

— Patrz, Jerzy. — rzekł z zadowoleniem — To wszystko, co ci teraz wręcę, jej oddasz. Miałem pierwotnie uczynić testament i w tym testamencie zapisać jej to, ale ciekawi ludzie zaczęliby badać, jaką rolę odegrałem w życiu i to byłoby szkodliwe dla niej. Zaczęliby grzebać w przeszłości... i matkę jej hańbą okryli... Nie, nie... To się stać nie powinno... To, co jest moją własnością, teraz do niej należyć będzie... Ty jej to sam wręczysz Jerzy...

Ale nagle twarz jego się zmieniła. Drżącymi rękami zaczął przewracać papiery, szukać, a w oczach jego błyszczał niepokój i przestrasz.

— Cóż to ma znaczyć? — wyszeptał — Gdzież się podziały te obligacje? Niema ich... Przecież je miałem tutaj, nie w banku... Gdzież je schować mogłem...

Gorączkował się coraz bardziej i coraz niespokojniej przerzucał papiery.

Podąłem ze stolika zwitek papierów i podałem mu, mówiąc:

— Czy to, nie jest tem, czego szukasz? Nie bądź taki niecierpliwy... Popatrz, może to właśnie te obligacje.

Wzruszył ramionami i wyrzekł pogardliwe:

— To dekoracje moje! Pamiątka z czasów, kiedy byłem jeszcze konsulem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)